

0 owieczkach i niewiernych

11 lipca 2013

Nim przejdę do meritum, wyjaśnię kilka kwestii, tak by ludzie, którzy preferują ataki ad hominem, musieli się liczyć z faktami.

Głosowałam na Mohammeda Mursiego w drugiej turze wyborów prezydenckich (by zablokować kandydaturę Ahmada Szafika).

Należę do administratorów bloga „MB in English”, gdzie można znaleźć angielskie tłumaczenia odrażających oświadczeń Braci Muzułmanów, z założenia przeznaczonych tylko dla egipskiej opinii publicznej, gdyż pełno w nich podżegania na tle wyznaniowym, teorii spiskowych i zwariowanych tez.

Jestem przeciwna ingerowaniu armii w politykę.

Wspominam o tym wszystkim, gdyż w polityce i w całym społeczeństwie egipskim bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzech lat pogłębiły się podziały po liniach tożsamościowych. To tak jęczący problem, a gorączka malaryczna wściekłości i podejrzeń pozostaje tak głęboka, że o słuszności czy niesłuszności czyichś argumentów niemal zawsze decydować ma to, kto je przedstawia.

Ostatnie kilka tygodni rzuciły mnie między demonstracje zwolenników i przeciwników Mursiego. To tak, jakby zwiedzić dwie różne planety. W obozie jego zwolenników można spotkać o wiele więcej mężczyzn niż kobiet (choć nie brak kobiet i dzieci), i jest on o wiele mniej różnorodny społecznie niż obóz jego przeciwników. Nigdy nie spotkałam tam kobiety z odkrytą twarzą, która nie byłaby dziennikarką. Należy zauważyć, że popierający Mursiego demonstranci i media często podkreślali, że w ich zgromadzeniach uczestniczą chrześcijanie. Jednocześnie łatwo rzucali oskarżenia, że Kościół koptyjski uczestniczy w spisku felul (beneficjenci reżimu Mubaraka i jego zwolennicy), Stanów i syjonistów na

rzecz obalenia Mursiego.

W istocie tłumy zwolenników Mursiego pozostają w dużej mierze jednorodne. Ich przeciwnicy wykorzystują tę jednorodność by dowodzić, że Bracia Muzułmanie to w najlepszym razie organizacja zdolna wyłącznie do przekonywania przekonanych, a w najgorszym – zamknięta grupa, której nie zależy na kimkolwiek poza jej członkami.

Przeciwnikom Braci trudno tu odmówić racji, wielu z nich idzie jednak krok dalej. Sugerują, że wszyscy zwolennicy Mursiego to członkowie Braci Muzułmanów, bez wyjątku bezmyślne androidy, sterowane przez Najwyższego Przewodnika. W powszechnym użyciu jest ich lekceważące określenie mianem chirfan (owiec). Ma to na celu ich dehumanizację i przekreślenie jakiejkolwiek ich reprezentatywności, w podobny sposób, w jaki Bracia potępiają swych przeciwników jako kuffar (niewiernych) czy felul.

4 lutego, dzień po zdjęciu z urzędu Mursiego, znalazłam się na zgromadzeniu w Nasr Ciry. Około kilometra przed wejściem, gdzie sprawdzano bagaże i nękano dziennikarzy, ustawiła się linia czołgów. Przed czołgami rozciągnięto drut kolczasty. Pięć metrów dalej stali w ciszy dwaj mężczyźni, trzymający portrety Mursiego.

Inny mężczyzna przeszedł przed nimi i zaczął krzyczeć. Był to inżynier, z wadą wymowy, który tłumaczył tonem rozpacz, że nie wziął udziału w protestach 25 stycznia, lecz nauczyły go one tego, „jak wyrażać swą opinię i jej bronić”. Głosował na Mursiego w obydwu turach wyborów, podkreślał jednak, że przybył na protest nie po to, by poprzeć konkretną osobę, lecz „ideę”.

„Nauczyłem się demokracji od elit. Więc zagłosowałem. Lecz pojąłem, że nie ma rewolucji i nie ma demokracji” – stwierdził.

Gdy to mówił, mężczyzna obok niego zaczął krzyczeć w stronę wojska, trzymając portret Mursiego. Był tak wściekły, że w

efekcie przedarł ten portret na pół, po czym padł i zwinął się w kłębek na ulicy, i zapłakał.

W sobotę wzięłam udział w posępnym i cichym pogrzebie Mohammeda Sobhiego, ojca dwojga dzieci, którego zabito strzałem w głowę przed siedzibą Klubu Oficerskiego Gwardii Republikańskiej. Naoczni świadkowie twierdzą, że miało to miejsce po tym, jak umieścił on portret Mursiego na drucie kolczastym przed obliczem żołnierzy, którzy zaczęli robić się nerwowi. Ogółem w trakcie protestu zginęły cztery osoby.

Pół godziny później zobaczyłam jego ciało, okryte prześcieradłem i otoczone przez zdezorientowanych demonstrantów. Chciałam umieścić zdjęcie na Twitterze, lecz zaszwankowało połączenie sieciowe i nie mogłam go wysłać. Umieściłam więc tweeta, że zabito człowieka, a jego ciało wciąż tu jest, i że próbowałam wysłać zdjęcie dla wszystkich, gotowych sugerować, że kłamię.

Problem nie w tym, że ludzie nie uwierzyli mi po pierwszym tweecie (ostrożność jest zawsze wskazana). Problem w tym, że dyskutowali o tym czy w ogóle zabito człowieka nawet po tym, gdy załadowałam zdjęcie. Ktoś odpisał: „on nie ma egipskich rysów”. Inni snuli podejrzenia, że to stara fotografia. Gdy pojawiło się wideo i nie można było już dłużej podważać faktu, że zastrzelono człowieka przed Klubem Oficerskim Gwardii Republikańskiej w Kairze w tym samym czasie, gdy zgromadził się tam tłum zwolenników Mursiego, zwrócono nagle uwagę na rodzaj ran. Gdy Sobhi padł na ziemię, patrzył w kierunku wojska, a krew wypływała z boku jego głowy.

Zapanowała niemal natychmiastowa zgoda, że musiał zostać zastrzelony przez kogoś z boku. Najpowszechniejszy wniosek był taki, że to sami Bracia zabili Sobhiego, aby następnie rzucić winę na armię. Tym razem nie było mowy o wybuchu gniewu, jaki zazwyczaj towarzyszy zarzutowi o zabicie cywila przez wojsko. Na pogrzebie nie byli obecni przedstawiciele dosłownie żadnych egipskich mediów poza Mada Masr.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z pogrzebem młodych ludzi z Maniał, zabitych w starciach między Braćmi Muzułmanami a mieszkańcami tego kairskiego osiedla. Masa mediów, masa wyrazów współczucia, i masa gniewu – owszem, jak najbardziej słusznego.

Niemal te same sceny rozegrały się rankiem w poniedziałek 8 lipca, gdy w Egipcie rozeszła się wiadomość, że zabito ponad czterdziestu ludzi – znów pod Klubem Oficerskim Gwardii Republikańskiej. Telewizja państwowa i takie prywatne satelitarne jak ONTV ograniczyły swój przekaz do wywiadów z ofiarami działań wojska oraz do ostatecznego i niezbitego stwierdzenia, że to uzbrojeni zwolennicy Mursiego okazali się instygatorami ataku na żołnierzy.

Prezenterka Amani El-Chajat mówiła o „terrorystach” (tj. zwolennikach Mursiego), kryjących się w dzielnicach mieszkalnych. Gdy wspominała o trupach zwolenników Mursiego, złożonych w Meczecie Rabaa El-Adawija – pod którym odbywało się ich zgromadzenie – jej ton pozostawał kpiący i szyderczy.

Przedstawiając te sceny, nie pragnę zapewnić sympatii zwolennikom Mursiego. Nie zgadzam się z ich poglądami politycznymi. Część z nich sama pozostawała odpowiedzialna za akty niewyobrażalnej, barbarzyńskiej przemocy. Niezależni dziennikarze donosili, że część z nich była uzbrojona (podobnie, jak donoszono o broni w rękach ich przeciwników). Ich decyzja o przemarszerowaniu w kierunku Maspero przez Maniał (i Plac Tahrir) oznaczała prowokację i stanowiła wyraz tak bezdennej głupoty, że każdy, kto ma choć odrobinę wstydu, odciąłby się od takich protestów.

Problem stanowi dla mnie reakcja na te protesty. Formalnie niezależne media ignorują, bagatelizują bądź demonizują ogromną część społeczeństwa egipskiego. Nie ma tu mowy o rozważaniu takich niuansów, jak w przypadku protestów przeciwników Mursiego. Jadowity, ksenofobiczny resentyment antyamerykański części ich uczestników nie charakteryzuje

przecież ogółu. Nie wykorzystywano w celu dyskredytacji całej ich sprawy systematycznych aktów przemocy seksualnej, których ofiarą padały kobiety na Placu Tahrir. Gdy pojawiały się hasła prowojskowe, podkreślano, że nie wszyscy protestujący popierają armię. Media egipskie w zasadzie nie zadbały o podobne rozważenie pobudek drugiej strony.

Stanowi to problem z trzech względów, i dotyczy on całego społeczeństwa egipskiego, a nie tylko wiernych zwolenników Mursiego.

Po pierwsze, to kolejny dowód, że media w tym kraju chętniej mówią nam o tym, co ich zdaniem powinno się dziać niż o tym, co rzeczywiście się dzieje. Po drugie, oznacza to bagatelizowanie zagrożenia ze strony wyobcowanej, a zarazem zdeterminowanej grupy, która uważa, że padła ofiarą politycznego rabunku. Wreszcie, po trzecie, to łatwy sposób ucieczki przed debatą na temat tego, co naprawdę działo się aż do 1 lipca: czy wybrany prezydent powinien zostać usunięty z urzędu za sprawą masowych protestów.

Niektórzy Egipcjanie reagują z instynktowną nienawiścią na Braci Muzułmanów i bliskich im salafitów. Ta nienawiść spaja wszystkie klasy społeczne i zdołała wzrosnąć jeszcze przed obecnymi wydarzeniami. Wzrosła z całkiem uzasadnionej nieufności i obawy przed tym ugrupowaniem, które kłamało, dbało głównie o własne interesy, marginalizowało inne ugrupowania, wykorzystywało kiepskie preteksty do przeforsowania konstytucji, dążyło do zapewnienia Mursiemu władzy dyktatorskiej, prowadziło flirt z armią i w przerażający sposób codziennie zbijało kapitał polityczny na niesnaskach o charakterze wyznaniowym. Nie potrafiło pojąć, że stoi na czele całego kraju, i kompletnie nie dostrzegło, że jeśli prezydent kraju arabskiego chce poradzić sobie z niezadowolaniem, wykorzystując zorganizowaną grupę, to powinien ze względów public relations zadbać o to, by nosiła ona mundury.

I, co chyba najważniejsze, ich rządy w Egipcie okazały się

beznadziejnie słabe, w czasach, gdy amatorzy po prostu nie mają szans.

Gdy zwolennicy Mursiego próbują przedstawić swoje argumenty, napotykają na ścianę nienawiści, lecz – wstrzymajcie oddech! – nieraz trzymały się one kupy, aż do 30 czerwca. Nieprzejednana postawa Mursiego i zachowanie jego zwolenników po 30 czerwca przeważały szalę na niekorzyść jakiejkolwiek legitymacji, jaką wcześniej posiadali. Zakłamanie, kiepskie rządy, prywatna i marginalizacja innych sił politycznych to jednak w znacznej mierze dewiza wszystkich sił politycznych i same w sobie nie usprawiedliwiają one jeszcze obalenia prezydenta przez wojsko.

Deklaracja konstytucyjna z 22 listopada 2012 r. była haniebną i można ją uznać za zapowiedź nadchodzących czarnych chmur, lecz Mursi w końcu ją uchylił. Splamił ręce krwią po wydarzeniach, które stanowiły wynik jej ogłoszenia i rozegrały się pod Pałacem Republiki w grudniu 2012 r., gdy Bracia Muzułmanie nasłali swych ludzi na protestujących przeciwników prezydenta.

Pełen odwołań do religii język Braci Muzułmanów, coraz częstsze incydenty na tle wyznaniowym, kwietniowy atak na Katedrę św. Marka, brak reakcji Mursiego na słowa pewnego szejka, który nazwał szyitów „nieczystościami” i wyraźna całkowita bezradność w obliczu linczów na szyitach w czerwcu – to wszystko dowodzi z całą mocą braku woli wzięcia w karby elementów ekstremistycznych w obozie islamistów. Co najważniejsze, dowiodło to, że Mursi nigdy nie pragnął reprezentować wszystkich Egipcjan. Podkreślmy jednak raz jeszcze, że Mursi odziedziczył tę tradycję prowadzonej przez państwo dyskryminacji i podziałów wyznaniowych po swoim poprzedniku, a sam jedynie rozkręcił tę maszynę na całego.

Gdy mowa o flirtach z armią, to pozostają one dziś w modzie.

Moje podejście do wydarzeń sprzed 30 czerwca zmieniło się wskutek tego, co stało się później: należało pozwolić Braciom

Muzułmanom, by upadli sami, gdyż nie dokonali (jeszcze) niczego, co usprawiedliwiłoby usunięcie Mursiego przez armię. Cena, którą Egipt już zapłacił i jeszcze zapłaci w wyniku tej decyzji, pozostaje zbyt wysoka. Za jej sprawą wzrosło całe pokolenie islamistów, głęboko przeświadczonych, że demokracja wyrzuca ich poza swój nawias. W tym przeświadczeniu utwierdza ich jeszcze to, co wyłoniło się 30 czerwca, tym bardziej, że zamknięto islamistyczne gazety i kanały telewizyjne, a ich przywódców uwięziono i odcięto od świata, rzekomo zgodnie z decyzjami władzy wykonawczej. Przez trzydzieści lat słyszeli od Mubaraka, że nie powinni mieć wpływu na stosowny proces decyzyjny, dziś zaś potwierdza to rewolucja ludowa. To społeczeństwo egipskie zapłaci cenę za spowodowane tym krzywdy i za to, że wobec zamknięcia ust mediom islamistycznym i milczenia mediów niezależnych głosu tych ludzi nie dało się usłyszeć dosłownie nigdzie.

Nie zamierzam brnąć w dyskusję czy był to pucz, czy rewolucja – powiem jedynie, że miliony Egipcjan wyszły na ulice domagając się usunięcia z urzędu Mursiego, gdy samoloty wojskowe wycinały serca nad ich głowami, a zaraz potem Abdel Fatah El-Sisi ogłosił, że wypieprzono (siłą) Mursiego. Nic nie uległo zmianie. Prawdziwa rewolucja będzie mieć miejsce, gdy udział wojska w polityce stanie się odległym wspomnieniem przeszłości.

W każdym razie, to spór semantyczny i nie będę tu rozstrzygać, jaki wokabularz pozostaje tu właściwy. Interesuje mnie tylko jeden aspekt tego szerokiego sporu – twierdzenie, że legitymacja pochodzącego z wyborów prezydenta traci ważność, gdy miliony ludzi wychodzą na ulice. Jeśli ma to stanowić precedens, to znaczy, że nadchodzą niepewne czasy, gdyż interesy mas nie są zbieżne z interesami wojska.

Egipt ponownie pogrąża się w niesamowitym bałaganie politycznym. Gdy opadnie euforia, opozycja przypomni sobie, jak to jest, gdy się słyszy pytanie o liczbę nóg u krowy, zaś jedna frakcja zakwestionuje fakt, że to w ogóle krowa, inna

odpowie, że cztery, a jeszcze kolejna, że pięć, gdyż należy doliczyć ogon. Jakże zabawne czasy właśnie nastały, gdy salaficka partia Nur zdołała zawetować nominację Mohammeda El-Baradejego na premiera, gdyż jej zdaniem sprzyja ona narastaniu podziałów, zaś przedstawiciele kampanii Tamarod raz twierdzą, że premierem został on, a innym razem, że kto inny.

Jeśli w ogóle cokolwiek dociera do głowy wojskowym, to dostrzegą oni, że legitymacji reżimu 30 czerwca (może ktoś zaproponuje lepsze określenie...) nie da się oprzeć na twierdzeniach o miażdżącym ciosie dla islamistów, bez względu na to, jak by tego chciała opinia publiczna. Nie sposób ich wykluczyć, gdyż donikąd nie odchodzą. Ledwie funkcjonujący system polityczny 25 stycznia zastąpiono czymś jeszcze lichszym: sporami frakcyjnymi, dla których nie widać żadnego rozwiązania, wojskiem jako arbitrem i rozwścieczonymi Braćmi Muzułmanami, którzy czują się wystrychnięci na dudka. Zapnijcie pasy.

Autorka: Sarah Carr

Tłumaczenie: Paweł Michał Bartolik.

Źródła oryginalne: Jadaliyya, Mada Masr

Źródło polskie: [Internacjonalista](#)